SPRAWA

DWUTYGODNIK POLSKIEGO INSTYTUTU: "MIECZ DUCHA"

ADRES REDAKCJI: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1 Telefon: MAY 2928

Rok II No. 13 NIEDZIELA 27 CZERWCA 1943 Cena 3d.

Ks. BISKUP KAROL RADOŃSKI

PRZED ZJAZDEM KATOLICKIM

OSTATNIE DZIESIĘCIOLECIE przed wojną było w Polsce okresem wzmagającego się coraz silniej życia katolickiego i pracy Kościoła nazewnątrz. Wielkie kongresy eucharystyczne po diecezjach, które poprzedził i zainicjował wspaniały narodowy kongres w Poznaniu w r. 1930, pielgrzymki stanowe z całej Polski na Jasną Górę, rozpoczęte przez młodzież akademicką, za którą poszli włościanie, ziemianie, kupcy, nauczycielstwo, kobiety, młodzież męska i żeńska, były nie tylko wyrazem hołdu i czci dla Królowej i Pani Narodu, ale wskazywały wspólną, jasną drogę do Polski Chrystusowej.

Rok 1930, który był rokiem narodzin Akcji Katolickiej w kraju, dał impuls do organizowania owej "acies bene ordinata," która tyle budziła radosnej nadziei u jednych, a tyle strachu i nienawiści u drugich. Co najważniejsze, działalność ta nie była bynajmniej z góry narzucona. Odpowiadała ona pragnieniom kochających sprawę Bożą katolików. Pamiętam, jak na jednym z zebrań powiatowych w mej diecezji, które miało na celu założenie Akcji Katolickiej w terenie, pewien małorolny włościanin odezwał się w te słowa: "My już dawno myśleli o konieczności czegoś takiego, nie wiedzielim tylko, jak się do tego zabrać." Coraz wyższy poziom dyskusyj na dorocznych zjazdach delegatów parafialnych Akcyj Katolickich wskazywał, że ludzie znaleźli to, czego podświadomie szukali i że coraz lepiej pojmują obowiązki i zadania katolika świeckiego wobec swego Kościoła.

Archidiecezja gnieźnieńska i poznańska, posiadająca już pewne tradycje pracy pozakościelnej od czasów arcybiskupa Stablewskiego, głosiciela idej Leona XIII, mogła zdobyć się na doroczne wielkie zjazdy katolickie, obradujące zwykle dwa dni coraz to w innym mieście, a stanowiące przegląd tego, co zdziałano w ostatnim roku, zarazem zaś rzucające nowe hasła na przyszłość. Manifestacje zewnętrzne ograniczały się tu wyłącznie do uroczystego przemarszu uczestników przed władzami kościelnymi i świeckimi, a cały nacisk spoczywał na rzetelnie opracowanych i przedyskutowanych referatach i wykładach.

Nie pominięto i pracy katolickiej nad inteligencją. Na czoło wysunęły się oczywiście wielkie miasta: Warszawa, Lwów, Wilno, Poznań, Kraków, które dawały możność inteligencji świeckiej zaznajomienia się z problemami życia katolickiego. W ostatnich dwu latach przed wojną powstały przy diecezjalnych instytutach Akcji Katolickiej wszędzie t.zw. Wyższe Instytuty Kultury Katolickiej, gdzie przez szereg miesięcy zimowych odbywały się regularne wykłady na poziomie uniwersyteckim z dziedziny filozofii chrześcijańskiej i teologii prowadzone przez profesorów seminariów duchownych, ale przeznaczone dla świeckich. Kursy te cieszyły się znacznym powodzeniem. Wielu ze słuchaczów poddawało się nawet pod koniec kursów egzaminom.

Wielką zasługę, jeśli chodzi o dostarczenie Kościołowi świeckich działaczy, zdobyła sobie Katolicka Wyższa Szkoła Społeczna w Poznaniu, jedyna — zdaje się — dotąd instytucja tego rodzaju w świecie, kształcąca w trzyletnich kursach pracowników zawodowych dla wszystkich dziedzin Akcji Katolickiej.

Wojna przerwała pracę, tak piękne rokującą nadzieje. Nienawiść najeźdźcy zniszczyła wszystko. Rozgrabiono majątek instytucyj katolickich. Płonęły na stosach mozolnie zebrane księgozbiory i wydawnictwa. Przede wszystkim jednak tępiono działaczy katolickich. Czołowe osobistości Akcji Katolickiej znalazły się zaraz w początkach inwazji przed karabinami plutonów egzekucyjnych. Polska Akcja Katolicka, dla której Pius XI miał tyle słów uznania, ma już swoich męczenników: A "sanguis martyrum," jak wiemy, to zadatek bogatego żniwa.

Dziś katolicy polscy w Wielkiej Brytanii, w przeddzień, jak ufamy, powrotu do ojczystego Kanaan — chcemy się skupić, przygotować do pracy, jaka nas czeka w Ojczyźnie. Ożywia nas wszystkich ta sama wielka miłość Kościoła, ten sam zapał oddania się Polsce pod Jego auspicjami. Mamy wszyscy jaknajlepszą wolę, brak tylko czasem jasnego poglądu, zrozumienia zasad i wskazań, od których zbaczać nie wolno. Ale ponieważ należymy do tych, których Pismo św. nazywa "docibiles Dei," chcących dać się pouczyć Bogu — dlatego coraz to wyraźniej krystalizować się będą przekonania katolickie w życiu i opinia katolicka w społeczeństwie.

Niechby ten Zjazd Katolicki w Londynie, dający świadectwo o naszym umiłowaniu Sprawy Bożej, przyczynił się do spełnienia prośby, którą co niedziela rzesze uchodźcze ślą do Stwórcy "by stał się twierdzą Twojej siły—Nasz Dom."

STEFAN SNOPKOWSKI

CATHOLICISSIMA PATRIA

JAKO STOLICA ZIEM POŁUDNIOWO-wschodnich Polski, stanowi Lwów w ostatnich czasach przedmiot coraz żywszego zainteresowania opinii świata. Dla Polaków zainteresowanie to powiększa i pogłębia się jeszcze dzięki faktowi o aktualno-historycznym znaczeniu.

Oto mija właśnie 600 lat od chwili, kiedy ziemie, których Lwów jest dziejowym, kulturalnym i gospodarczym ośrodkiem, weszły z powrotem w skład państwa polskiego. Do roku 981 bowiem, jak świadczy jeden z najstarszych przekazów historycznych ruskiego kronikarza Nestora, ziemie te stanowiły integralną część obszaru Polski, a biskupstwo krakowskie, zgodnie z dokumentem biskupa praskiego Wojciecha, posiadało swe granice na rzece Seret, czyli sięgało mniej więcej do tej samej linii, która prawnie i dziś oddziela — na podstawie Traktatu Ryskiego z r. 1921 — południowo-wschodnią część państwa polskiego od Rosji bolszewickiej. Od r. 981 do r. 1340 terytorium to, zwane Ziemią Czerwieńską, oderwane od Polski, przechodziło zmienne i politycznie płynne koleje losu pod władzą książąt włodzimiersko-halickich, uzależnianych z biegiem lat coraz bardziej od pogańskich Tatarów, w szczególności od chanatu t.zw. Złotej Ordy Kipczackiej. Był to w istocie teren ustawicznego ścierania się wpływów tatarskich i polskich, a tym samym wschodnich i zachodnich, wraz ze wszystkimi konsekwencjami, jakie z tej walki płynęły dla życia dziejowego i kulturalnego ludności tych ziem. Hordy pogańskie przelewały się nieraz w ciągu wieków przez te ziemie i groziły zbarbaryzowaniem nie tylko Ziemi Czerwieńskiej, ale wręcz całej Polski a poprzez Polskę — europejskiego centrum i zachodu. Temu naporowi przeciwstawiała się przez wieki Polska samotna. I nie tylko orężem. Także pracą ducha, poprzez słynne zakony żebracze, wznoszenie świątyń i wpływ cywilizacyjny na dwór książąt włodzimiersko-halickich i szlachtę, t.zw. bojarów. Praca misyjna biskupa poznańskiego Jordana w w. X, Dominikanie polscy w wieku XII i XIII, Kustodie franciszkańskie w szeregu miast w wieku XIV — umacniały te wpływy, które w roku 1233 wyraziły się konsekracją pierwszego biskupa łacińskiego Ziemi Czerwieńskiej Gerarda, dzięki interwencji Piasta, Księcia Konrada Mazowieckiego.

Ale rozstrzygnięcie padło dopiero w roku 1340. Umarł wtedy we Lwowie ostatni książę halicki, Bolesław Trojdenowic (spokrewniony przez ojca z polskimi Piastami), przekazując w testamencie krzesło książęce swemu szwagrowi, królowi polskiemu, Kazimierzowi Wielkiemu. Nie tylko względy rodzinne dyktowały jednak tę decyzję. Rosztrzygającą rolę odegrały powody polityczne i cywilizacyjne. Nieustające zamieszki wewnętrzne między szlachtą ruską, przede wszystkim zaś groźba dominacji tatarskiej, która z Ziemi Czerwieńskiej uczyniła faktycznie lenno Ordy Kipczackiej, kazały jak mówi historyk lwowski, profesor Władysław Abraham, autor podstawowego dzieła o organizacji Kościoła łacińskiego na Ziemi Czerwieńskiej — "przeobrazić ten kraj w państwo zachodnie, zapewnić kulturze zachodu wpływ stanowczy."

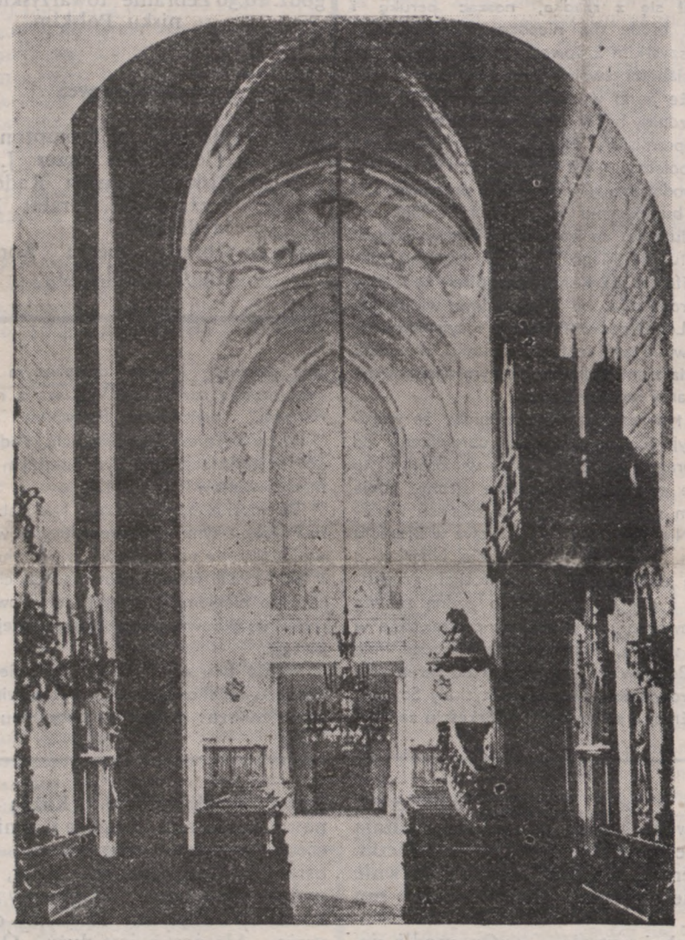

Wnętrze katedry lwowskiej obrządku łacińskiego.

Lwów w tym przeobrażeniu, które możnaby nazwać zokcydentalizowaniem Ziemi Czerwieńskiej, odegrał ważną rolę, bowiem nie tylko nie przeciwstawił się, ale poparł czynnie króla polskiego, gdy ten roztoczył prawa suwerenne Korony Polskiej nad tą ziemią. Nie bez znaczenia w tej postawie Lwowa były silnie zapuszczone w nim już korzenie tradycji katolickiej. Miasto z ulgą powitało odsiecz, która z przybyciem Kazimierza i powrotem rządów polskich, odeprzeć miała rosnące niebezpieczeństwo panowania tatarskiego. Lwów już od zarania swego żywota historycznego, t.j. od roku 1250, posiadał ostoję kultury łacińskiej w starożytnym kościele św. Jana Chrzciciela, zbudowanym staraniem żony panującego księcia Lwa, Konstancji, córki węgierskiego Beli IV-go, rodzonej siostry św. Kingi, poślubionej polskiemu Piastowi na tronie krakowskim, Bolesławowi Wstydliwemu. Ojciec zaś wspomnianego Lwa, Daniło sprzyjał katolicyzmowi i osobiście pragnął stać się członkiem kościoła rzymskiego.

Te tradycje katolickie Lwowa pogłębiły się oczywiście i rozwinęły bogato od chwili, kiedy Ziemia Czerwieńska stała się z powrotem częścią składową Polski. Chociaż bowiem, ludność miasta składała się pierwotnie z wyznawców różnych obrządków, nawet pogańskich Tatarów, polityka zaś zarówno ostatniego Piasta, jak i jego następców Jagiellonów a później królów obieranych odznaczała się typową dla polskiego charakteru i kultury — tolerancją i liberalizmem w stosunku do wszystkich wyznań, to jednak rzymski katolicyzm stał się tu nie tylko religią panującą, ale również budowniczym dziejowego stylu życia wszystkich mieszkańców.

Sprzyjały temu rozwojowi wybitne postacie ówczesnych arcybiskupów lwowskich, których twórcza działalność wnosiła cenny wkład nie tylko do lokalnej, ale także ogólno polskiej kultury i budziła podziw u cudzoziemców.

Rządy arcybiskupa Jakóba Strepy (1391-1409) ugruntowały byt kościoła katolickiego na Ziemi Czerwieńskiej. Był to organizator znakomity, świątobliwy asceta, osobistość, którą współcześni otoczyli nimbem legendy. Nazwany "pierwszym świętym lwowskim," odbył Jakub Strepa nowicjat franciszkański w Rzymie, skąd piechotą odbył pielgrzymkę do Lwowa, aby tu przez długie lata rozwijać niezapomnianą działalność religijną, humanitarną i cywilizacyjną. Przekaz historyczny mówi, że gdy po wiekach wydobyto szczątki arcybiskupa, aby je przenieść do relikwiarza, "jabłka goleniowe były niezwyczajnie zgrubiałe, z częstego snać klęczenia na twardym kamieniu."

Inną postacią wybitną dawnego Lwowa katolickiego był w połowie XV wieku uczony arcybiskup Grzegorz z Sanoka, pierwszy humanista polski, najwyższej miary kaznodzieja, o którym słynny Włoch, pionier "rinascimenta" Filip Buonacorsi Kallimach powiedział, że "zdawał się być istotą nie ziemską, lecz niebiańską, gdy stawał na ambonie."

Tacy to pasterze tworzyli kulturę i religijnego ducha miasta, które wyjątkowo go łaknęło i potrzebowało, stanowiąc twierdzę cywilizacji nie tylko polskiej ale w ogóle zachodniej, wysunięte najdalej na wschód tej cywilizacji i narażone ustawicznie w ciągu wieków na inwazję obcego wschodu. Królowie, posiadający swą stolicę w Krakowie, posiadali pełną świadomość wagi tej kultury religijnej w mieście, które otaczali szczególną opieką, słynna zaś Akademia Krakowska roztaczała patronat nad lwowską szkołą metropolitalną, przekształconą przez Jezuitów w r. 1661 na pełny Uniwersytet. Świadectwem mocy, która z tego religijnego dzieła ówczesnego Lwowa promieniowała wokoło, był szczególnie serdeczny stosunek Stolicy Apostolskiej do tego miasta. Papież Sysktus V. nazwie Lwów w r. 1586 "catholicissima patria" i pozwoli miastu używać własnego herbu, różniącego się tym od herbu Lwowa, że lew w przednich łapach trzyma trzy pagórki, oświecone gwiazdą.

Tej tradycji religijnej, w dawnych wiekach założonej, ciągle mnożonej i bogaconej, pozostał Lwów wierny do najnowszych czasów. Ta tradycja i płynąca z niej siła dziejowa była dla miasta podporą i ostoją zwłaszcza w groźnych okresach najazdów wschodnich, których los nie oszczędzał Lwowowi. Jak wielkie znaczenie realne ta siła posiadała, dowodzi wzruszająca uroczystość z r. 1656, kiedy to król Jan Kazimierz w obliczu potopu wrogich sił, zalewających Polskę ze wszystkich stron, przybywszy do Lwowa, złożył w katedrze lwowskiej (budowanej jeszcze przez Kazimierza Wielkiego w wieku XIV) słynne swoje "śluby," oddając Polskę pod opiekę Matki Boskiej, na której cześć zgromadzone wówczas w kościele rzesze mieszczan śpiewały:

"Śliczna gwiazdo miasta Lwowa, Maryja!
Matko nasza i Królowa, Maryja!
Maryja, o Maryja, Królowa. . . ."

Zewnętrzny wyraz tego dziejowego bogactwa religijnego, stanowiły i po dziś dzień stanowią Kościoły Lwowa, których Lwów — ze wszystkich miast polskich — najwięcej posiada. Niektóre z nich: Katedra, Kościół 00 Dominikanów, Bernardynów, św. Jerzego, Cerkiew Wołoska, Kaplica Boimów, to świątynie, w których styl epok wyrażony został po mistrzowsku tworząc z tych kościołów zabytkowe klejnoty lwowskiej architektury.

Wspomniana wyżej ruska Cerkiew Wołoska każe nadmienić, że do lwowskiego bogactwa życia religijnego przyczynia się właściwość szczególna, nie powtarzalna gdzieindziej w Europie. We Lwowie obok metropolity rzymsko-katolickiego, rezyduje metropolita grecko-katolicki i ormiański. Polacy, Rusini i Ormianie posiadają tu swoich hierarchów rzymskich na tronach arcybiskupich, dając świadectwo unii z Rzymem, którą po Polakach, wiernych Kościołowi od zarania swego życia historycznego, przyjęli Ormianie w r. 1630, Rusini zaś, pod wpływem króla Jana Sobieskiego, oswobodziciela Wiednia, w r. 1700.

Głęboko katolicki duch Lwowa był jednym z tych głównych czynników siły wewnętrznej, które pozwoliły miastu przetrwać i odeprzeć dwudziestokrotne w jego dziejach inwazyjne najazdy wschodniego imperializmu, ujawniającego się raz po raz pod różną postacią: hord tatarskich, wojującego w ciągu XVII wieku Islamu, względnie eurazjatyckiej Moskwy.

Ten duch stworzył też w mieszkańcach Ziemi Czerwieńskiej i Lwowa odporność, co umożliwiła przetrwanie półtorawiekowej niewoli (od r. 1772 do 1918), w której okresie zaborca austriacki czynił ogromny wysiłek, aby wynarodowić żywioł polski tego miasta za pomocą polityki, germanizowanej szkoły i niesłychanego ucisku gospodarczego. Kultura polska Lwowa posiadała taką siłę atrakcyjną, że sami prześladowcy ulegali jej urokowi i zamieniali się w fanatycznych patriotów polskich, masowo np. zasilając szeregi powstania polskiego w r. 1830 i biorąc udział w ówczesnym tajnym ruchu niepodległościowym polskim. Jak rdzennie zaś polskim pozostał charakter Lwowa i jak głęboko splótł się ten charakter z religią rzymsko-katolicką, na to dostarcza dowodu pisarz niemiecki J. K. Kohl, który w roku 1841 opisując swój pobyt w tym mieście, opowiada o wrażeniach doznanych podczas zwiedzania przepełnionych wiernymi kościołów lwowskich. Zwiedzając mianowicie Katedrę lwowską, ujrzał anioła, który podaje Matce Boskiej wypisane na wstędze słowa: "Regina Poloniae, ora pro nobis." Pisząc, że napis ten Austriacy usiłowali zniszczyć, dodaje od siebie następującą impresję: "O cóż innego może Maria prosić dla Polaków, jak tylko: Ojcze niebieski, zlituj się nad narodem polskim, pomóż wszystkim ukochanym braciom polskim, aby odzyskali swoje dawne państwo i wypędzili znienawidzonych wrogów, Niemców i Rosjan. Spraw, aby zajęli znowu należne im miejsce w rodzinie wolnych narodów, które Ty, Boże, im wyznaczyłeś. Niech krzywda, wyrządzona Polsce, zostanie przez Ciebie, Boże, ukarana, a cierpiący i uciśnieni niech odzyskają prawa."

Gdy w drugiej połowie XIX wieku, okres konstytucyjny w Austrii umożliwia rozkwit i odrodzenie życia narodowego we Lwowie, czynnik religijny odgrywa w tym procesie dziejowym rolę twórczą i — jakby — organiczną. Polskość miasta splata się nierozerwalnie z jego duchem katolickim. Podobnie, jak w dawnych wiekach, nowi znakomici arcypasterze lwowscy przyczyniają się do wzmożenia tętna życia religijnego, arcybiskup rzymsko-katolicki Józef Bilczewski buduje za swych rządów 328 kościołów i kaplic, tudzież tworzy 117 nowych parafij w swojej archidiecezji, głęboki myśliciel katolicki, płomienny kaznodzieja, arcybiskup ormiański Józef Teodorowicz ozdabia starożytną katedrę ormiańską, której zręby pochodzą z roku 1363, natchnionymi polichromiami Jana Rosena, stanowiącymi jedyne w swoim rodzaju malarstwo religijne. Ważną rolę odgrywa, żyjący do dziś dnia we Lwowie, arcybiskup ruski hr. Andrzej Szeptycki.

W ciągu 20 lat (1918-1939) odrodzonej niepodległości życie religijne Lwowa znajduje nowe, sprzyjające warunki swego wiekowego rozwoju. Pogłębia się ono zwłaszcza dzięki rozbudowie wydziału teologicznego w Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie. Fakultet ten rozszerza swe badania na coraz to nowe działy religioznawstwa, w szczególności podnosi się uprawa filologii biblijnej i historii kościoła w Polsce, zaś Polskie Towarzystwo Teologiczne, posiadające swą centralę we Lwowie, kieruje 19 oddziałami w całej Polsce i wydaje naukowe pismo periodyczne o charakterze międzynarodowym "Collectanea Theologica."

Wybuch obecnej wojny, a wraz z nią zabór Lwowa naprzód przez wojska bolszewickie (we wrześniu 1939), a następnie przez wojska niemieckie (w czerwcu 1941 r.) — kładzie kres temu bujnemu rozwojowi narodowemu i religijnemu miasta. Nad Lwowem i Ziemią Czerwieńską zawisła groza dominacji obcych światów, których kultura, pogląd na świat i życie, moralność i stosunek do człowieka — są antytezą światła płynącego z Rzymu, światła, w którego promieniach rozwijał się byt tej ziemi w ciagu 600 lat.

Ta groźba jest złowróżbna nie tylko dla Lwowa i Polski. Ona nie wieści niczego dobrego całej Europie i całemu światu, stojącemu na szańcu zasady kultur narodowych i wiecznych prawd, wywodzących się z ducha chrześcijaństwa. I dlatego sprawa Lwowa nie jest tylko sprawą Polski. Jest także sprawą moralności, sprawą całego katolickiego świata. Gdy poeta lwowski, Sebastian Klonowicz, spoglądając ze wzgórza na twierdzę lwowską, apostrofował z końcem XVI wieku, do "Gentis primus honor, sacra Leontopolis" i wołał: "Lwowie! My ciebie kornie pozdrawiamy, bo losy świata w twych murach się ważą" — to nie był to tylko wyraz megalomanii narodowej.

Było to także trafne i prorocze rozeznanie, że od tego czym jest Lwów — zależy, czy Europa pozostanie moralnie światem zachodniej cywilizacji, czy też tylko . . . małym półwyspem niezmierzonej Azji. . . .

J. A. Ż.

LENIN

(WEDŁUG KSIĄŻKI CHRISTOPHERA HOLLIS'A)

BERDJAJEW, JEDEN Z NAJLEPSZYCH ZNAWców komunizmu, pisze w swojej książce o Leontjewie: "Życie tych nowych ludzi ostatecznie okaże się o wiele bardziej uciemiężone i niezdrowe od życia dobrych i obowązkowych mnichów w surowym klasztorze" (str. 100-102).

Lenin[1] czy to w młodości w rodzinnym Symbirsku, czy na wygnaniu na Syberii, czy na emigracji w Szwajcarii, Paryżu i Galicji, nawet jako władca absolutny na Kremlu, potrzeby miał skromne, nie szukał ani zbytku, ani rozrywki, wolny zdawał się od tej pożądliwości ciała i oczu, która tylu gubi. Usposobienie jego przypominało surową tonację wschodniego stepu, a tym samym nie pociągała go uroda życia. Zdawał się antytezą bujnego indywidualisty, który tak długo przodował społeczności europejskiej, począwszy od książąt renesansu, a kończąc na artystach, czy arystokratach z jesieni XIX wieku. W umiarkowaniu swoim i skromności Lenin tym różnił się od anachoretów, że cenił drobnomieszczańskie stosunki rodzinne i bardzo był im wierny. Wśród burzliwych przygód rewolucyjnych stale pisywał do matki, odwiedzał ją o ile mógł, sprowadzał zagranicę w latach emigracji. Podobnie troszczył się o zdrowie siostry i w niezamąconej zgodzie współżył z żoną i rewolucyjną towarzyszką, Nadieżdą Krupską.

Tam gdzie mieszkał, nigdzie nie było mu ani bardzo dobrze, ani bardzo źle. Na Syberii dużo polował, wycieczki i spacery na emigracji uważał za należny mu wypoczynek po walkach partyjnych, albo pracy dziennikarskiej. Sztuka interesowała go mało, z zagranicznej literatury znał i lubił Zolę i Jacka Londona, w przeciwieństwie do Trockiego, czytał stosunkowo nie wiele. Rosję i jej stosunki znał na wylot, ale między nim, a krajami Europy, w których mieszkał, pozostawała jakaś zapora, w bogatej i przecywilizowanej Europie z początku XX w. przebywał jak daleki, posępny i obojętny wędrowiec ze stepu.

Energia tego bystrego realisty w ciągu lat wytężała się w jednym kierunku, pochłonięta była wojną z kolegami w fachu rewolucyjnym, czy to rosyjskimi, czy zagranicznymi. Ani carat, ani burżuazja nie poruszały go tak żywo. Dawno już był ich osądził z zimną logiką determinizmu. Wzywał tylko wojny i nieuniknionego biegu wypadków, mającego przypieczętować ich zagładę. Gniew, a często potok obelg i rekryminacyj skierowywał przeciwko ludziom rozdwojonym, "służalcom burżuazji," pseudo socjalistom ulegającym mamidłom humanitaryzmu, albo dającym się przejednać małą poprawą w losie robotników. Nie było kongresu, nie było zjazdu w ciągu wielu lat, na których Lenin nie występowałby jako samotny oponent, odrzucający zgodę, tylko chwilowo dostępny dla kompromisu, swarliwy, nieufny, trochę szalony, jak pisze Hollis.

W tej pogardzie dla otaczającej go słabości Lenin odszedł jak najdalej od innego rewolucjonisty J. J. Rousseau i jego teorii o dobroci natury ludzkiej, za to bezwiednie zbliżył się do nauki chrześcijańskiej i swoiście ocenił znaczenie grzechu pierworodnego. "Kościół, pisze Hollis, godzi się w tym z Leninem, że człowiek musi się odrodzić, ale dalej głosi, że to odrodzenie jest możliwe przez działanie łaski. Błędem jego było to, że poczytywał liberalną filozofię, z którą walczył, za ustaloną filozofię zachowawczą. Nie rozumiał czym społeczeństwo średniowieczne różniło się od społeczeństw nowożytnych, że między nimi nie tylko zaszła zmiana osób wyzyskiwaczy, jak to głosiła historyczna teza Marxa, lecz także zasadnicza zmiana w pojęciu samej natury człowieka. Liberalizm i kapitalizm, ugruntowane zostały na wierze w samowystarczalność człowieka, a zaprzeczając grzechowi pierworodnemu zbuntowały się przeciwko tradycji. Czego było potrzeba, to nie buntu przeciwko tradycji, ale reakcji w jej kierunku."

Poznawszy słabość ludzką, Lenin dążył stale do jednego, do stworzenia małej grupy rządzących, których by był głową, do mocnej i niezłomnej egzekutywy i w tym jego instynkcie widać silne dziedzictwo autokratyzmu ruskiego i wschodniego. Przeczuł to dawno Krasiński, powtarzając tylokrotnie, że różnica między komunizmem a caratem jest mała.

Pierwsza wojna światowa trwała już od dwu lat, kiedy Lenin, zamieszkawszy w Zurichu, w warunkach skromnych i niewygodnych zaczął pisać najlepszą ze wszystkich swoich broszur: "Imperializm, czyli wyższy stan kapitalizmu."

Dowodzenia Lenina opierały się na tym, że kapitalizm, ażeby pozbyć się swoich towarów musiał pożyczać kupującym, albo podnosić płacę swoich robotników i nabywców. Dopóki większość pieniędzy znajdowała się w rękach Anglii, system działał jeszcze sprawnie, ale ze wzmożeniem się produkcji niemieckiej nastąpiło rozdwojenie, a co za tym idzie rywalizacja w poszukiwaniu rynków zbytu i pożyczek, z czego wywiązała się wojna słów, prowadząca w nieunikniony sposób do wojny prawdziwej. Hollis przyznaje, że Lenin ściśle ujął jedną z głownych przyczyn konfliktu 1914 r. W czym się Lenin mylił, dodaje Hollis, to w przekonaniu, że system ten zostanie uzdrowiony przez komunizm. Trudno dopatrzyć się różnicy między "komisarzem," a prywatnym finansistą, chyba tylko w nazwie. Każdy system, którego kontrola znajduje się w ręku paru ludzi, uchodzić może słusznie za tyranię, a żadne wolne państwo nie może istnieć bez szerokiego zasięgu własności. I tu należy przytoczyć motto książki Hilaire Belloca "The Servile State"; "Albo trzeba odbudować instytucję własności, albo odbudować instytucję niewolnictwa. Między tym dwojgiem nie ma trzeciego wyboru." ...W czym się też Lenin mylił, zwalczając w czasie pierwszej wojny zarówno niemieckich jak i skandynawskich socjal-demokratów, to w lekceważeniu, jakie miał dla uczuć narodowych, głęboko zakorzenionych w krajach zachodnich. Znając dobrze tylko Rosję, przewidział słusznie, że tam niezadowolenie z ciężarów wojny zagłuszy patriotyzm i dlatego znajdzie się w niej pole otwarte dla teoryj Marxa. Na zachód od Rosji było inaczej. Niemcy np. czuli się naprzód Niemcami, a dopiero po tym socjalistami i nawet nieszczęścia przegranej wojny nie zmieniły tego stanu rzeczy. Gdy Lenin i jego następcy spróbowali zaciągnąć Niemców na drogę marksizmu, wywołali jako odpowiedź — Hitlera, jego brunatne koszule i pogrzebanie swoich zamiarów.

W czasie rosyjskiej rewolucji Lenin i jego nieliczna garstka znajdowali się prawie ciągle na krawędzi przepaści. W przededniu objęcia władzy Lenin chował się jeszcze, czy to w Finlandii, czy w okolicy Petrogradu, a w stolicy pokazywał się z rzadka, nosząc perukę i ogoliwszy brodę dla niepoznaki. Zwyciężył przede wszystkim z powodu błędów, chaotyczności i słabości swoich przeciwników, a też dlatego, że jasno wyczuł pewne nastroje mas, zarazem zdolny był do chwilowych, ale korzystnych kompromisów. Nienawidził Trockiego, ale się z nim połączył. Od najmłodszych lat działalności zawodowego rewolucjonisty przeciwny był ruchowi budującemu na masach chłopskich. Oceniał słusznie, że komunizm jest wytworem proletariatu miejskiego. W swoim komunistycznym manifeście już Karol Marx pisał, że należy ratować robotnika od "idiotyzmu wiejskiego życia." Lenin pozwolił chłopu rosyjskiemu do syta zadowolić swój instynkt rabunku, chciwości i pożądania ziemi i dopiero po tym narzucił mu żelazne karby kolektywizmu.

Rządy tymczasowe nie rozumiały, że większość rosyjskich żołnierzy ma obrzydzenie do wojny i pragnie pokoju. Lenin wykorzystał to pragnienie powrotu w rodzinne strony, gdzie tymczasem grabili pozostali na miejscu i rozpoczął z Niemcami układy pokojowe w Brześciu Litewskim. Zerwali je następnie Niemcy, a Lenin nie zanadto się tym zatroskał, przekonany, że i oni bardzo prędko padną pastwą ogólnej rewolucji. Tymczasem pertraktacje w Brześciu, wydały, wedle Hollisa, jeszcze inne owoce. Bolszewizm ograniczyły do terytoriów rdzennie rosyjskich, Ukrainę odzyskały Sowiety trochę później, a za to ugoda w Brześciu zapewniła swobodę krajom dołączonym do Rosji zaborczością carów w XVIII w., a mianowicie Finlandii, państwom Bałtyckim i Polsce. "Byłoby to niesprawiedliwością, dodaje Hollis, aby te kraje zostały pod orientalnym despotyzmem Sowietów" (str. 242).

Te ostatnie były jeszcze o tyle słabe, że atak na Polskę, a tym samym rewolucyjne wtargnięcie do Europy nie powiodło się im w roku 1920.

Od 1921 roku Lenin zaczął chorować i pomimo niezłomnej energii i chwilowych powrotów do zdrowia ulegał postępującej sklerozie mózgu.

Wśród tylu walk, wśród tylu nieprzyjaciół, nie zapominał o Ostatnim. Właściwie istnieniu Jego zawsze przeczył, obcy mu był od młodości wewnętrzny dialog duszy, zwany sumieniem, dlatego, że implikuje on wiarę w siłę lepszą i wyższą. Najmniejszą słabość, czy iluzję w tym kierunku tępił wśród swoich popleczników, szczególnie u Gorkiego, bo tego artystę pociągało bałamutne igranie z religią. Jeszcze przed samą śmiercią Lenin zwrócił się do jednego z młodszych autorów z następującą prośbą: "Napisz . . . małą książeczkę o historii religii i PRZECIWKO WSZELKIEJ RELIGII (wymieniając pomiędzy nimi Kantyzm i wszelkie inne wybredne idealizmy, nawet wybredny agnostycyzm) przytocz materialne dane dla historii ateizmu, wykazując węzły łączące Kościół z burżuazją" (str. 278, list 335).

[1] Christopher Hollis: "Lenin" (Longmans, Green and Co., London).

POLSKI ZJAZD KATOLICKI W LONDYNIE

(28-29 czerwca 1943r)

Program

28 Czerwca

godz. 16 Nabożeństwo w Brompton Oratory (Brompton Road, S.W.7).

godz. 17 I Plenum w Ognisku Polskim (45 Belgrave Square, S.W.1).
- a. Przemowienie wstępne: Min. Gen. Broni Józef Haller (Prezes Polskiego Oddziału "Sword of the Spirit").
- b. Otwarcie Zjazdu: J. E. Ks. Biskup Edward Myers, Wikariusz Kapitularny Westminsteru.
- c. Wybor Marszałka i Assesorów Zjazdu.
- d. Przemowienia okolicznościowe i powitalne.
- e. Referat Przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego: Ks. Prałat Zygmunt Kaczyński.
- f. Wybór Przewodniczących Komisyj.

godz. 20,30 Zebranie towarzyskie w Ognisku Polskim.

29 Czerwca

godz. 8 Msza Św. w Brompton Oratory celebrowana przez J. E. Ks. Biskupa Karola Radońskiego; kazanie—Ks. Prałat Nikodem Mędlewski.

godz. 10 Obrady Pięciu Komisyj w Ognisku Polskim:
1. Godność i prawa osobowości ludzkiej. referenci: o. Inocenty M. Bocheński, O.P.; Red. J. Kisielewski.
2. Obrona jedności społecznej, a specjalnie rodziny. Referenci: Prof. Stanisław Grabski; Zofia Zaleska.
3. Porządek społeczno-gospodarczy i godność pracy. Referenci: Dr. Stanisław Ożga; Red. Stanisław Sopicki.
4. Pojęcie państwa w myśl doktryny chrześcijańskiej. Referenci: Prof. Paweł Skwarczyński; Dr. Zbigniew Szydłowski.
5. Odbudowa ładu międzynarodowego. Referenci: Red. Jan Rembieliński. Mjr. Dypl. Marian Utnik.

godz. 18 II Plenum w Ognisku Polskim.
- a. Uchwalenie tez Zjazdu.
- b. Uchwalenie tekstu depeszy do Ojca Św.
- c. Zamknięcie Zjazdu J. E. Ks. Biskup David Mathew, sufragen Westminsteru.

Uwaga: Prosimy osoby, które chciałyby wygłosić krotkie przemowienia powitalne o wcześniejsze powiadomienie Komitetu Organizacyjnego (27 Grosvenor Street, W.1).

ERYK SOPOĆKO

TRZY MODLITWY

KWIECEŃ 1940 ROKU. BŁĘKIT wody zamkniętej w skalistych brzegach norweskich fiordów. Białe plamy śniegu. Czar wiosny, urok świeżości, pokój w naturze. Pokój w naturze — jak dziwnie obco słowa te brzmiały dla nas, zamkniętych w stalowym kadłubie okrętu powodnego "ORZEŁ," 50 metrów pod powierzchnią morza. Ostatnich kilka dni — z których każdy obfity był w zwycięstwa — nie zawsze nad nieprzyjacielem, częściej nad samym sobą, i szereg ataków — to zmęczyło nas i wyczerpało, a uczucie bojaźni, tej ponoć tak nie męskiej bojaźni, choć maskowane lecz żyło w sercach wielu. Nieprawdą jest, że trwogę przezwyciężyć można zawsze. Instynkt życia zbyt silnie zakorzeniony jest w każdym. Lęk pokonać się daje raz, dwa razy, częściej może nawet, ale niemniej przeto istnieje jakaś granica, po której przekroczeniu nerwy są już zbyt słabe i pokrzepienia szukać trzeba gdzieindziej.

Jest popołudnie. Niezmącona cisza panuje we wnętrzu "ORŁA." Wszystkie mechanizmy odstawione. Na wachcie w centrali dwóch czy trzech zaledwie stoi. Reszta załogi w swych pomieszczeniach. Chodzić nie wolno. To samo dotyczy głośnej rozmowy. Zresztą ten ostatni zakaz jest bez znaczenia. Słowa nie układają się nam w logiczne zdania. Zdania pomiędzy sobą nie mają związku. Jasno oświetlone, białe ściany pomieszczeń — takie jak zawsze. Blade, w tym świetle, twarze ludzi jakieś inne. Te same niby rysy ale w innym, nieznanym mi poprzednio skupione wyrazie.

Raz po raz słychać zduszony wybuch bomby głębinowej. Czasem kilka naraz. Jesteśmy celem. Niemcy niezmordowanie atakują nas — pierwsza faza dalszych wybuchów minęła. Była krótka przerwa. Teraz zaczyna się od nowa. Tylko bliżej . . . zdecydowanie bliżej . . . Leżę na koji. Mam gazetę. Sprzed paru tygodni. Mam książkę. Ironia losu — Sienkiewicza "Krzyżacy." Czytam. Staram się czytać — to raczej właściwe określenie.

Bliższy wybuch. Drgnąłem. Nie można się przyzwyczaić. Dreszcz, przykry zimny dreszcz wstrząsnął mną. Granitowe ściany fiordu powtarzają kilkakrotnie zduszony, przytłumiony grzmot. Słychać pluskanie baniek powietrza rwących na powierzchnię. Zamykam książkę. Zdaję sobie sprawę że nie mam siły czytać. Zamykam oczy. Staram się nie myśleć. Z tym trudniej. Myśli jak na złość kłębią się. Co gorsza choć setki i tysiące ich każda mówi to samo. Spokój . . . Filozoficzny spokój — towarzysz pierwszych dni minął. Pseudo spokój — sztuczny twór w początkowej fazie dzisiejszego ataku należy do cennych wspomnień o przeszłości. . . .

Znów wybuch. Nie; dwa, trzy. Jeden bardziej głuchy, to bomba hydrostatyczna rozerwała się blisko dna. Na podstawie słyszanego dźwięku widzę niemal te masy błota wyrwane z morskiego legowiska i rozrzucone brutalną siłą eksplozji. Okręt drgnął. Wskaźnik głębokości — jest on w każdym pomieszczeniu — przesunął się. Siła wybuchu wypchnęła nas o dziesięć metrów wyżej. Zanurzenie czterdzieści metrów. Dobieramy do zbiorników wodę. Zanurzenie sześćdziesiąt. Oczekiwanie. Najgorsze, to bezczynność i oczekiwanie. Słychać śruby. Trawlery niemieckie są bliżej. Tik-tak, tik-tak — regularnie jak zegar. Nie, szybciej niż zegar. Pamiętam nasz zegar w domu. . . .

Wstrząs. Jeszcze wstrząs i dwa tuż po sobie następujące wybuchy. Znów bliżej. Tracę resztę tego co było resztką z reszty zachowanego spokoju. W tym samym momencie słowo "koniec" ciśnie mi się mimowoli na usta. Koniec. . . . Napewno ucieka gdzieś na powierzchnię z wnętrza okrętu powietrze, a może przewody oliwy czy ropy są nie dość szczelne bądź nadwyrężone atakami i to nas zdradza. Może . . . Ktoś przygasił część świateł. Patrzę po otaczających mnie twarzach. Ich też męczy to oczekiwanie, ta przymusowa bezczynność. Wszyscy mają przymknięte oczy. To wspólne. Jedne twarze maluje twarda, w bólu nieugięta zawziętość. Inni, dwóch takich widzę, łzą zwilżają spieczone gorączką podniecenia policzki. Podoficer w stopniu bosmata dziwnie spokojnie wygląda. Usta poruszają mu się w . . .

Wybuch i wstrząs . . . On modli się. Boże, przecież i ja . . . znów . . . Śruby są bliżej . . . Słowa prostej, codziennej modlitwy, w miarę jak je powtarzam, stają się dla mnie wszystkim. Zapominam o otaczającej mnie rzeczywistości. Znalazłem wreszcie coś co napełnić zdołało serce otuchą i wiarą. Skończyłem z lat dziecinnych znany mi pacierz. Z kieszeni kombinezonu wyjąłem przez matkę przysłaną mi kartkę z modlitwą do Matki Boskiej — Królowej Korony Polskiej. Modlitwa staropolska przepojona nieprzebraną otuchą.

Jeszcze raz bomby głębinowe. Słyszę. Wiem, że następne zniszczą nas. Wiem ale jednocześnie nam w sobie znów uczucie bezpieczeństwa. Nie ma jeszcze nic straconego. Ten tak bezpowrotnie, jakby się zdawało, utracony spokój jest w dalszym ciągu mym udziałem. Wiara żyje we mnie.

Minuty mijają. Jest cisza. Kwadranse. Umilkły nawet i śruby. Mijają godziny.

Cud. To patronka nasza, Matka Boska nas uratowała — słyszę cichy, nieśmiały głos marynarza z sąsiedniej koji. Życie budzi się na nowo we wnętrzu okrętu.

✩

Rok później. Maj na Atlantyku. Trochę wiatru. Fala. Czasem słońce — częściej chmury. Sylwetka pancernika Marynarki Królewskiej H.M.S. Rodney rysuje piękny choć groźny zarazem obrazek na szarym tle porannego nieba.

"Hood" zatonął. "Bismarck" przedostał się na ocean. Rozkazy Admiralicji skierowują nas w pogoń za nim. Gdzie jest nieprzyjaciel, nie wiemy. Wymknął się, korzystając z wieczornej mgły, wciąż jeszcze nie zdołano nawiązać z nim kontaktu. Do niedawna szliśmy z konwojem. Nowy Świat był celem naszej drogi, ale ku ogólnej radości załogi plany zostały zmienione. Idziemy do boju!

Na okręcie dla wszystkich wyznań jest jedna kaplica. Kapliczka okrętowa jest skromna, nie wielka. Mamy dwóch kapelanów. Jeden Kościoła Anglikańskiego i jeden naszego wyznania. Wszyscy żyjemy oczekiwaniem. Każda godzina, nawet każda minuta może przynieść to — czego wszyscy pragniemy. Chcemy usłyszeć huk naszych dział, chcemy widziec dym, ogień. Pragniemy rewanżu. Bronimy słabszych. Marzymy o zwycięstwie. Ale ocean jest duży. Ocean jest ogromny. Możliwe jest że setki, setki mil dzielą nas od nieprzyjaciela. Prawdopodobieństwo spotkania jest bardzo niewielkie.

Dzień budzi się. Widzę go wstającego zmiętym po niepogodnej nocy. Słychać niezadowolone pomruki wiatru. Nie dziwię mu się wcale. Godzina naprawdę taka że nic innego robić nie wypada. Mamy alarm o świcie. Ćwiczebny alarm. Odwołanie. Msza św. Mała kaplica, ale dużo w niej marynarzy. Okręt kiwa się na fali. Błyski światła świec i cienie snują się po burtach w miarę przechyłów. Ewangelia. Kazanie. Jesteśmy jak żołnierze w okopach na chwilę przed atakiem — mówi kapelan. Bóg musi być z nami. Musi żyć w sercach i duszach naszych. Komunię św. przyjąć możemy wszyscy. Wystarczy wzbudzić w sobie akt żalu i do spowiedzi pójść przy pierwszej nadarzającej się okazji. Chylą się głowy marynarzy u stóp ołtarza. *Nadzieja* rodzi się — rodzi się w modlitwie.

Minęły dwa dni. Działa "Rodneya" zagrzmiały w potężnym akordzie. "Bismarck" jest naszym celem. Wypryski wody okalają nas. Nieprzyjaciela otacza cały nasz wieniec. Bój trwa. Dumny i pewny siebie przeciwnik idzie na dno. Konwoje znów są bezpieczne. Kto wie ile setek czy tysięcy żyć zostało uratowanych. Sprawiedliwość zwyciężyła.

✩

I znów minął rok. Inne dekoracje. Następny akt. Jestem na pokładzie brytyjskiej korwety. Zakotwiczeni stoimy pomiędzy statkami przyprowadzonego konwoju w jednym z portów podzwrotnikowej Afryki. Mam służbę oficera dyżurnego okrętu. Postój jest krótki, a więc załadowanie prowiantu, pobieranie wody słodkiej i ropy trwa niemal że bez przerwy. Co chwila dobija do trapu jakaś łódź. Interesanci, goście, robotnicy. Wokół conajmniej z tuzin murzyńskich pirog. Nadzy, lub prawie nadzy synowie tej ziemi namiętnie zbierają pływające odpadki. Humor im dopisuje. Owszem. Jeden specjalnie starając się zwrócić uwagę zawodzi ponurym głosem popularne angielskie melodie. Marynarze kończą malowanie burt. Nadbudówkę malować właśnie skończyli. Część odeszła do czyszczenia dział, reszta porządkuje wnętrza łodzi ratunkowych. Słońce świeci niemal z zenitu. Upał. Duże krople potu pokrywają twarz. Chowam się gdzie mogę od nieznośnych promieni. Już po raz trzeci w przeciągu dwu tygodni tracę skórę. Dziwię się że jeszcze wciąż mam coś, co zdolne jest pokryć moją doczesną powłokę. Woda, jak w ujściu każdej tropikalnej rzeki, brunatno szara i gęsta niby krupnik czy inna jakaś zupa. W leniwym jej nurcie nie widać życia. Parę zdechłych ryb na powierzchni. Z oddali wrzawa murzyńskiego miasteczka. Smętne jak kominiarskie miotły sylwetki palm. Bliżej brzegów ospałe ptactwo morskie. Zapach zgniłej wody przyprawia o mdłości. Widok owoców, w czarnych nie z urodzenia lecz z brudu rękach murzynów z pirog, potęguje to uczucie. Byle głupstwo denerwuje, nawet rozdrażnia. Myśli kręcą się wokół wszystkiego co zimne. Mróz i śnieg powoduje drżenie rozkoszy. Nawet deszcz, nawet chmury....

Z messy właśnie wyszedł kapelan. Był tylko chwilę. Zaokrętowany jest na jednym z okrętów wchodzących w skład naszej grupy eskortowej. Jutro rano będzie miał u nas mszę. Dziś przyszedł spowiadać. Czy chciałbym się wyspowiadać? — pyta. Oczywiście. Ale nie mogę w tej chwili zejść z pokładu. To nie przeszkadza. I tak, jak staliśmy na rufie, pod rozpalonym niebem, w żarze południowego słońca, o paręset zaledwie mil od równika, zaczęliśmy spowiedź. Pewny jestem iż nikt nie zdawał sobie sprawy z charakteru naszej rozmowy. Bóg jednak ją słyszał.

Ksiądz pojechał na inny okręt. A ja tak jak poprzednio stoję na pokładzie. Czuję się jednak dziwnie wzruszony. Naprawdę jest czym być wzruszonym. Religia która chce i może dostosować się do potrzeb twardego i codziennego życia, jest prawdziwie żywą. Rozumiem tych co ginęli w jej obronie, rozumiem tych co dla niej cierpią. Miłość to wielkie słowo, a kochać coś doskonałego to ideał do którego wszyscy powinniśmy dążyć.

THE COMMON CAUSE

FORTNIGHTLY OF THE POLISH SECTION OF THE "SWORD OF THE SPIRIT"

EDITORIAL OFFICE: 27 GROSVENOR STREET, LONDON, W.1 Telephone: MAY 2928

Vol. II No. 13 SUNDAY, JUNE 27th, 1943 Price 3d.

BISHOP KAROL RADOŃSKI

BEFORE THE CATHOLIC CONFERENCE

THE LAST TEN YEARS BEFORE the war were in Poland a period of an intense development of religious life both within and without the church. The great Eucharistic Congresses in the dioceses, initiated by the national congress of Poznan of 1930, the pilgrimages organized by various classes and professional groups to the shrine of Jasna Gora —students, peasants, landowners, merchants, teachers, women, schoolboys and schoolgirls—all these manifestations were not only homages to the Queen of Poland, but also clear indications of a march towards a truly Christian Poland.

The Catholic Action was initiated in Poland in 1930. The "acies bene ordinata" aroused joyous hope among many people and inspired some with fear and hatred. It was not an activity imposed from above. It responded to the wishes of all the good Catholics devoted to their cause. I remember that at one of the district meetings in my diocese, when we were discussing the organization of branches of the Catholic Action, a farmer said: "We had been thinking about doing something like it for a long time, only we did not know how to do it." The constantly improving standard of discussion at the annual conferences of the parochial delegates of the Catholic Action proved that people had found something that they had badly needed and that they realized more and more the duties and obligations towards the Church of all Catholic laymen.

The archdioceses of Gniezno and Poznan, which already had some tradition of work among laymen, initiated by Archbishop Stablewski when he was spreading the ideas of Leon XIII, could have annual Catholic Congresses, held every year in a different town of the diocese and usually lasting two days. They provided an opportunity for reviewing the work of the past year and of making plans for the future. The outward manifestations were usually confined to a solemn march-past of the participants before the ecclesiastic and civil dignitaries, while the main work of the Congress was done in the course of serious lectures and discussions.

Special work was done among the members of the educated classes, mainly in the larger towns, such as Warsaw, Lwow, Wilno, Poznan or Cracow. In the last two years before the war so-called "Higher Institutes of Catholic Culture" were founded at all the diocesan Catholic Action institutes. Throughout the winter months lectures of university standard were held at these institutes by professors of ecclesiastic seminaries. They were on Christian philosophy and theology, intended for Catholic laymen. They were well attended and many of the participants voluntarily submitted to examinations at the end of the course.

The Higher Social Catholic College of Poznan, probably the only institution of its kind in the world, trained lay personnel for work in all the branches of Catholic Action. It had a three years' course of study and its graduates were fully qualified for all kinds of social organizing work for the Catholic Action.

The war interrupted this promising activity. The barbarian invaders destroyed everything. The property of the Catholic institutions was looted. The painstakingly collected libraries and archives were burnt. The main fury of the Germans was turned, however, against the men who did the work. The leading figures of Catholic Action were among the first people in Poland to face firing squads. The Polish Catholic Action, for which Pius XI had so much appreciation, has already its martyrs. And we know that "sanguis martyrum" carries the promise of a rich harvest in the future.

Today the Polish Catholic in Great Britain, on the eve—as we hope—of their return to Canaan, want to collect their thoughts and prepare for the work which awaits them in their own country. We are all inspired by the same love of the Church and the same desire to serve Poland as good Catholics. We all know the principles and commandments to which we must remain faithful at all costs, even though some of us may only visualize them as general ideas. But as we are those whom the Scripture describes as "docibiles Dei" willing to learn from God—our Catholic principles of life will become clearer as we carry on our work and their influence in public life will become greater.

May the Catholic Conference in London, testifying to our care for the work of God, contribute to the realization of the prayer which all exiles address to the Lord: "Make our homes a fortress of Thy strength."

STEFAN SNOPKOWSKI

CATHOLICISSIMA PATRIA

AS THE CAPITAL OF SOUTH-EASTERN Poland, Lwow has been lately the object of the interest of world opinion. For the Poles the interest is heightened by an important anniversary, celebrated this year.

Exactly six hundred years ago the provinces of which Lwow is the historical, cultural and economic centre were re-incorporated to Poland. Until A.D. 981 — according to the testimony of the famous Ruthenian chronicler Nestor — these lands had belonged to Poland. The eastern boundary of the diocese of Cracow — as described by Wojciech, Bishop of Prague — ran along the River Seret, that is approximately the same line as the present frontier between Poland and Russia, fixed by the treaty of Riga in 1921. Between 981 and 1340 the territories concerned, known as the "Red Lands" (a medieval name bearing no relation at all to the Soviet regime) changed hands many times, under the rule of the princes of Wlodzimierz and Halicz, who were at times vassals of the Tartars, notably of the Golden Horde. It was a territory which became a battleground of Polish and Tartar influence, a meeting ground between west and east. The struggle between west and east filled the history of these lands with wars and upheavals. Pagan hordes often streamed across the eastern frontier and menaced not only the "Red Lands," but the rest of Poland and even Europe as well. Poland fought against the heathen invaders for many centuries—single-handed. She fought them not only on the battlefield, but also in the sphere of culture: by the work of the monasteries and churches, by the cultural influence exerted at the court of the Halicz princes and among the nobility, the "boyars." The missionary work of Jordan, Bishop of Poznan, in the tenth century, the activity of the Polish Dominicans in the twelfth and thirteenth centuries, the Franciscan missions established in many towns in the fourteenth century — all these influences consolidated the position of Poland and of Western civilization in that part of the country. They efentually resulted in the consecration in 1233 of the first Latin bishop of the "Red Lands" — Gerard, sponsored by Conrad Piast, Duke of Masovia (province of Warsaw).

The final decision, however, was not made until 1340. The last Prince of Halicz, Boleslaw Trojdenovic, died in Lwow and designated as his successor his brother-in-law, Casimir the Great, King of Poland. His choice of heir was dictated not only by family ties. The constant squabbles among the Ruthenian nobility and the menace of the Tartar domination, which made the Duchy of Halicz a virtual dependency of the Golden Horde, caused the Prince to seek a strengthening of western influence, which would be a safeguard against the Tartars. Prof. Wladyslaw Abraham, the author of an important work on the organization of the Latin Church in south-eastern Poland, states that the intention of the Prince was to transform his duchy into a western country.

Lwow played an important part in what might be described as the occidentalization of the "Red Lands," for it supported actively the King of Poland taking possession of those provinces. This attitude had been certainly influenced by the strong Catholic tradition which already existed in Lwow at the time. The city was relieved to be protected by the King of Poland against a possible new Tartar invasion. Since the very beginning of its historic life, Lwow had a centre of Catholic religion in the Church of St. John the Baptist, built in 1250 under a foundation of the wife of the ruling Prince Lew, Constance, daughter of the King of Hungary Bela IV. She was a sister of Saint Kinga, who had married Boleslaw the Modest, King of Poland. Prince Lew's father, Danilo, favoured Catholicism, and even wanted to join the Church of Rome.

The Catholic traditions of Lwow were developed when the city returned to Poland. Although the population was originally very mixed, including even some Tartars, the Catholic faith was dominant. Catholicism formed the pattern of life of the whole population, although the Polish kings—both the last Piast and the Jagiellos—remained faithful to the tradition of tolerance and liberalism which made the Polish Commonwealth what it was.

The great archbishops of Lwow made a lasting contribution not only to the heritage of the city and of its province, but also to Polish culture in general.

Archbishop Jakob Strepa (1391-1409) consolidated the position of the Catholic Church in the province of Lwow. He was a great organizer, a pious ascete and a spiritual leader. He was called "the first saint of Lwow." Jakob Strepa had passed his novitiate in Rome as a Fanciscan and then returned to Lwow on foot, as a pilgrim, in order to carry on his great religious, humanitarian and civilizing work. The chronicler reports that when after some centuries the body of the archbishop was removed from its grave, to be placed in a new tomb, it was found that his knee bones were particularly thickened, "clearly owing to continued kneeling on hard stone."

In the middle of the fifteenth century Lwow had another great figure, Gregory of Sanok, the first Polish humanist and a preacher of the highest eminence. The famous Italian pioneer of Renaissance, Philip Buonacorsi Callimachus, said of him: "He seemed to be a heavenly, not a worldly figure when he ascended the pulpit."

The Dominican Church in Lwów

On the back page: The interior of the Catholic Cathedral of the Latin Rite in Lwów (fourteenth century)

Such shepherds formed the culture and the religious spirit of a city which wanted such moral force, being the eastern outpost not only of Poland, but of western civilization as well. The kings of Poland, although they had their capital in Cracow, were well aware of the importance of maintaining the religious culture of Lwow, that bastion of the Church in the east. The Cracow Academy supervized the work of the Lwow archiepiscopal college, which was eventually transformed by the Jesuits in 1661 into a fully fledged university. The profound devotion of Lwow was also known in Rome, and the Holy See gave to the city particular attention. In 1586 Pope Sixtus V described Lwow as "Catholicissima Patria" and allowed the city to incorporate his crest—three hills with a star above them—in its coat of arms with the lion.

The religious tradition, strengthened and deepened by every generation, has remained characteristic of Lwow until today. It gave to the people of Lwow the fortitude and strength which they invariably displayed in the course of the numerous oriental invasions which have menaced the city at various periods of its history.

In 1656 King John Casimir, threatened on all sides by enemy invaders, came to Lwow and swore in the Lwow cathedral (built by Casimir the Great in the fourteenth century) his solemn oath of liberating the country and proclaiming solemnly the Holy Virgin as Queen of Poland.

An outward expression of the wealth of religious experience which characterized the history of Lwow is to be found in the numerous churches of Lwow. No other Polish city has as many churches. Some of them, like the Cathedral, the churches of the Dominicans, of the Bernardines, of St. George, the Vallachian church, the Boim chapel, are magnificent monuments of architecture, expressing the spirit of their epoch with profound significance.

The Vallachian church, used by the Ruthenians, illustrates a certain peculiarity in the religious life of Lwow, which is unique in Europe. There are in Lwow, side by side with the Roman Catholic archbishop, a Greek Catholic and an Armenian Catholic archbishop. Poles, Ruthenians and Armenians each have their Roman archbishops, testifying to the unity of the Church of Rome. The Poles have been Catholics ever since the dawn of their history. The Armenians formed their union with Rome in 1630, and the Ruthenians, under the influence of King John Sobieski, victor of Vienna, joined a similar union in 1700.

The Catholic spirit of Lwow enabled it to repulse the twenty invasions of eastern imperialism which have struck at its walls in the course of its long and eventful history. The imperialism of the east returned to the assault under different guises: Tartar hordes, the militant Islam of the seventeenth century, Eurasiatic Muscovite despotism and modern Russian imperialism.

That spirit gave to the people of Lwow the moral strength which enabled them to stand a century and a half of enslavement (between 1772 and 1918) during which the Austrian governments made tremendous efforts to germanize the population by political pressure, education and economic influence. The most severe persecution failed to eradicate these features of the national character of Lwow. On the contrary, the attracting power of Polish culture proved so strong in Lwow that many of the former enemies and persecutors of Poland were converted themselves and joined the ranks of the Polish insurgents of 1830, helping the independence movements which existed in the nineteenth century. Polish patriotism and Catholic devotion became one, and the German writer, J. G. Kohl, who visited Lwow in 1841, provides an interesting testimony. He writes about the Lwow churches, overcrowded by the faithful. In the cathedral, he saw the picture of an angel handing to Mary a ribbon with the inscription "Regina Poloniae, ora pro nobis." He added that the Austrians had wanted to remove the inscription and he commented "What could Mary pray for on behalf of the Poles, if not for God's mercy on Poland and help in driving away the hated German and Russian invaders? May Poland hold again her rightful place among the free nations, to which God had appointed her. May the injustice be repaired and may the suffering and oppressed be saved from their plight."

When in the second half of the nineteenth century the liberal tendencies in Austria permitted a revival of national culture in Lwow, the religious element played in it again a predominant part. The Polish character of the city and its Catholicism had become inseparable from each other. As before, great archbishops of Lwow played a creative part in the religious and national life of the province. The Roman Catholic Archbishop Joseph Bilczewski erected during his term of office 328 churches and chapels, establishing 117 new parishes in his archdiocese. The profound thinker and inspired preacher, the Armenian Archbishop Joseph Teodorowicz, adorned the ancient Armenian cathedral dating from 1363 with the splendid frescoes of Jan Rosen—one of the finest examples of modern ecclesiastic art in Europe. An important part was played also by the Ruthenian Archbishop, Count Andrew Szeptycki, who still lives in Lwow.

In the course of the twenty years of independence (1918-1939) the religious life of Lwow found more favourable conditions of development than it had enjoyed for a long time. The Faculty of Theology of the John Casimir University of Lwow extended its research to various new branches of religious knowledge, achieving remarkable results, especially in the study of Biblical philology and of the history of the Church in Poland. The Polish Theological Society, with its headquarters in Lwow, controlled 19 branches throughout Poland and published an international periodical "Collectanea Theologica."

The outbreak of the present war and the occupation of Lwow, first by the Russians (September 1939) and then by the Germans (June 1941) put an end to the flourishing growth of national and religious thought. Lwow and the "Red Lands" of south-eastern Poland are menaced again by the domination of alien systems, which favour views of life, morals and of the nature of man in flagrant contradiction to those of Catholicism, inspiring Lwow for 600 years.

The menace hangs not only over Lwow and Poland alone. It threatens the entire world of cultural values based on the spirit of Christianity. That is why the problem of Lwow does not concern Poland alone. It is a matter of moral principle, the guardian of which is Rome. When the sixteenth century poet, Sebastian Klonowicz, looking from the heights at the Lwow citadel, spoke to "Gentis primus honor, sacra Leontopolis" and cried "We salute thee, for the destinies of the world will be decided within your walls," he was not entirely blinded by self-centred local patriotism.

He seemed to have a prophetic vision of a future in which the fate of Lwow would decide whether Europe is to be—morally—the home of western civilization, as of old, or merely one of the larger peninsulas of boundless Asia. . . .

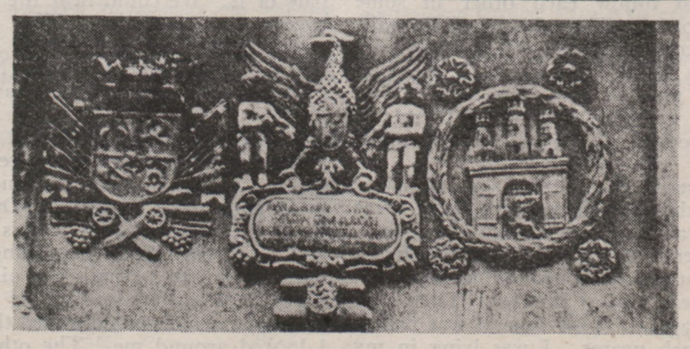

A seventeenth century bas-relief over the gate of the old Arsenal in Lwów

J. A. Ż.

LENIN

(ACCORDING TO CHRISTOPHER HOLLIS'S BOOK)

BERDIAIEV, ONE OF THE MOST PROFOUND students of Communism, wrote in his book about Leontiev: "The life of these new men will eventually prove more oppressed and morbid than that of good monks in a severe monastery" (pages 100-102).

Lenin[1] was always modest in his requirements and did not seek pleasure or luxury, whether in his native Symbirsk, or in Siberia, or in exile in Switzerland, Paris and Poland, or even as the absolute ruler of the Kremlin. His character seemed inspired by the austerity of the eastern steppes and he was not attracted by the joys of life. He seemed to be the antithesis of the exuberant individualist—the type that has dominated the European scene for such a long time, whether as a prince of the Renaissance period, or an artist or aristocrat of the dusk of the nineteenth century. Lenin differed in his moderation and restraint from the hermits only by his attachment to bourgeois family relations, which he observed faithfully. Throughout his turbulent revolutionary life he used to write to his mother, he visited her whenever it was possible and took her with him abroad. He also took care of his sister and his marriage with Nadiejda Krupska, a revolutionary comrade, was quite exemplary.

He never encountered extremes either of suffering or of pleasure. In Siberia he went shooting; while abroad he sometimes sought relaxation from his political and journalistic work in mountain tours and walking. He was not interested in art, and his favourite foreign authors were Zola and Jack London. Unlike Trotski, he did not read much. He knew Russia well, but there seemed to be a kind of barrier between him and the European countries in which he lived at various times. In the prosperous and over-civilized Europe of the first years of the twentieth century he felt like a stranger from the distant and grim steppes of the east, alien and indifferent.

The energy of that brilliant realist was entirely absorbed by his struggle against revolutionary colleagues, both Russian and foreign. Neither the tzar nor the bourgeois engaged his attention to a comparable extent. He had judged them long ago with the cold logic of determinism. He merely awaited the war and the inescapable train of events destined to bring about their destruction. His anger and his violent outbursts were usually aimed against the "servants of the bourgeois," against the pseudo-socialists inspired by humanitarian principles or satisfied with minor improvements in the position of the proletarians. There has been no congress for many years without Lenin playing the part of the lonely oppositionist, rejecting any attempt at conciliation, fighting compromise, quarrelsome, suspicious, somewhat obsessed—according to Hollis.

In his contempt for the weakness of others, Lenin was widely separated from that other revolutionary, J. J. Rousseau, who formed the theory of human goodness. On the contrary, he unconsciously drew nearer to Christian doctrine and appreciated the significance of original sin. The Church, writes Hollis, shares Lenin's view of man's need of regeneration; but it maintains that regeneration is possible thanks to divine grace. He made the error of looking upon the liberal philosophy, which he opposed, as the established philosophy of conservatism. He failed to grasp the difference between the medieval community and the modern communities, which consists not only in the change of the exploiting class, as was claimed by Marx, but also in a completely revised view of human nature. Liberalism and capitalism are founded on the belief in man's self-sufficiency and by denying original sin they revolted against tradition. What was needed was not a revolt against tradition, but a reaction in its favour.

Aware of human weakness, Lenin steadily pursued one aim: the creation of a small governing group of which he would be the head, a strong and ruthless executive. This choice of objective was no doubt influenced by the heritage of Russian and oriental absolutism. Krasinski, the great Polish poet, has said long ago that there is little difference between tzarist tyranny and communism.

The first world war had already lasted two years when Lenin, staying in Zurich in conditions approaching squalor, began to write the best of all his pamphlets: "Imperialism, or the higher stage of capitalism."

Lenin's argument was that capitalism, in order to dispose of its goods, had to lend money to the purchasers or increase the wages of the workmen, who were its customers. As long as the major part of world capital was in the hands of Britain, the system functioned smoothly; but when German production increased there was a split and a consequent rivalry in the search for markets and borrowers. This led to a battle of words, which was bound to degenerate into open warfare. Christopher Hollis admits that Lenin diagnosed correctly one of the main causes of the conflict of 1914. He was wrong, however, adds Hollis, in believing that the system could be successfully replaced by communism. It is difficult to see any actual difference between the "commissar" and the "capitalist." Every system in which the control of production is in the hands of a few men must be a tyranny and there can be no freedom without a widespread distribution of property. One might quote here the motto of Hilaire Belloc's book "The Servile State": "We must reconstitute private property, or slavery. There is no other alternative." Lenin was also mistaken, opposing during the war both German and Scandinavian Social-Democrats, in underestimating the strength of the national feelings in Western European countries. He knew Russia well and he correctly predicted that the dissatisfaction with war would overshadow there feelings of patriotism, providing a suitable ground for an application of the Marxist theory. In the West the situation was different. Germans considered themselves Germans first and Socialists next. Even the bitterness of defeat did not change that attitude. When Lenin's successors tried to implant Marxism in Germany, they caused the reaction of Hitler and the destruction of their plans.

At the time of the Russian revolution Lenin and his small band were continually risking disaster. Until the very moment when he seized power, Lenin had to hide, either on the Fininsh border or near St. Petersburg, where he only dared to appear in disguise, wearing a wig and no beard. He won mainly owing to the incompetence and weakness of his adversaries, and also thanks to his correct estimate of the feeling of the masses and ability to make temporary compromises favourable to his interests. He hated Trotski, but he joined forces with him. Ever since his revolutionary youth he had been opposed to any popular movement based on the peasant masses. He believed, quite rightly, that communism can be successful only among city proletarians. Already Marx had written in his communist manifesto that workmen should be saved from "the idiocy of rural life." Lenin allowed the Russian peasants to satisfy to the full their lust of plunder and possession of land before putting them into the iron fetters of collectivism.

The temporary governments failed to realize that the Russian soldiers were disgusted with war and wanted peace. Lenin made use of their desire to return to their native villages, where the remaining peasants were looting whatever was to be had; and he opened the peace negotiations of Brest Litovsk with Germany. The Germans later broke off the negotiations, but that did not worry Lenin, who expected that Germany itself would soon be engulfed in the general revolution. Christopher Hollis points out another consequence of the Brest negotiations: they confined bolshevism to purely Russian territories. Ukraine was reconquered by Russia soon afterwards, but the Brest Litovsk pact set free the countries annexed by the rapacious tzars of the eighteenth century, such as Finland, the Baltic countries and Poland. It would have been unjust, adds Hollis, to keep these countries under the oriental despotism of the Soviets (page 242).

The Soviet regime was at the time too new to succeed in its revolutionary invasion of Europe, opened by the attack against Poland in 1920.

Lenin's health deteriorated from 1921, and in spite of his indomitable energy and occasional recoveries, he fell victim to progressive sclerosis of the brain.

Amidst so many battles and so many opponents, he did not forget his last Enemy. He always denied His existence and he had ignored from childhood the spiritual dialogue known as conscience, for it implied the belief in a superior force of good. He ruthlessly opposed any weakness in this respect among his friends, notably in the case of Gorki, who was attracted by religion as an artist. Shortly before his death Lenin made to one of the younger authors the following request: "Write a short book about the history of religion and against any religion (including Kantism and all the other specious idealisms, even the refined agnosticism). Mention the materials facts of the history of atheism, proving the presence of bonds linking the Church with the bourgeois system" (page 278, letter 335).

[1] Christopher Hollis: "Lenin" (Longmans, Green and Co., London).

POLISH CATHOLIC CONFERENCE

In London (June 28th-29th)

Programme

28 June

4 p.m. Evening Service at the Brompton Oratory (Brompton Road, S.W.7).

5 p.m. Inaugural plenary meeting at the Polish Hearth (45 Belgrave Square, S.W.1).
- a. Address of welcome by General J. Haller, Minister of National Education, President of the Polish Section of the Sword of Spirit.
- b. Opening address by Rt. Rev. Edward Myers, Bishop of Lamus, Vicar Capitular.
- c. Election of a Chairman and Deputy Chairmen of the Conference.
- d. Addresses and greetings to the Conference.
- e. Report of the Chairman of the Organizing Committee, by Very Rev. Mgr. Z. Kaczyński.
- f. Election of Chairmen of Commissions.

8.30 p.m. Social meeting at the Polish Hearth.

29 June

8 a.m. Mass at the Brompton Oratory. Celebrant: Rt. Rev. K. Radonski, Bishop of Włocławek. Sermon preached by Very Rev. Mgr. Nikodem Mędlewski.

10 a.m. Debates of the Commissions at the Polish Hearth.
1. Dignity and rights of the individual. Speakers: Rev. Father I. M. Bocheński, O.P.; J. Kisielewski.
2. Defence of social unity through the family. Speakers: Prof. Stanisław Grabski; Mrs. Zofia Zaleska.
3. Economic and social order and the dignity of labour. Speakers: Dr. Stanisław Ożga. Stanisław Sopicki.
4. Idea of state according to the Christian doctrine. Speakers: Prof. Paweł Skwarczyński; Dr. Zbigniew Szydłowski.
5. Reconstruction of the international order. Speakers: Jan Rembieliński. Major Marian Utnik.

6 p.m. Second plenary meeting at the Polish Hearth.
- a. Voting of the motions of the Conference.
- b. Message to His Holiness the Pope.
- c. Closing address by Rt. Rev. David Mathew, Bishop of Aelia.

Note.—Representatives of Organizations and Societies wishing to make a short speech of greetings to the Conference are requested to notify the Organizing Committee (27 Grosvenor Street, W.1) before the day of the opening.

ERYK SOPOĆKO

THREE PRAYERS

APRIL 1940. BLUE WATER IN THE stone framing of the Norwegian fiords. White patches of snow and spring in the air. Freshness and peace. Freshness and peace—the words sounded strange to us, the crew of the submarine "Orzeł" 150 feet under the surface of the sea. In the last few days, rich in victories—won more often over ourselves than over the enemy—and in attacks, left us rather weary and exhausted. Fear was not unknown to many of us, though few would have admitted it. There are occasions when the instinct of self-preservation overcomes most emotions. Fear can be overcome once or twice by sheer will power, but there always comes a moment when something more is needed to defeat it and comfort has to be sought elsewhere.

It was a quiet afternoon. Everything was calm and peaceful in the "Orzeł." All the machines were stopped. Only two or three men kept watch in the control room and the others rested in their compartments. Walking about was prohibited. Loud conversation was also forbidden. This last rule was quite superfluous, for words refused to form coherent sentences anyhow. Sentences failed to follow each other in some logical order. The white, well-lit walls of the compartments looked bleak and bare, as usual. The faces of the men seemed pale in that raw light. The features were unchanged, but there was a strange look of concentration in many faces.

We heard the muffled explosions of depth charges. Sometimes there were several at once. We were the target. The Germans attacked us relentlessly. The first serious of explosions was over. There was a short interval. Then they started again. This time it was nearer . . much nearer. I was lying in my hammock, with a newspaper—several weeks old. I also had a book. Irony of fate — Sienkiewicz's "Knights of the Cross." I tried to read.

There was a particularly close explosion. I shuddered. It is difficult to get used to it. The granite walls of the fiord repeated several times the dull thud of the explosion. One could hear the splash of big air bubbles tearing to the surface. I closed the book. I realized that I could not read. I tried to think instead. That was difficult too. Thoughts tumbled in a mad scramble. There were thousands of them, but they all meant one thing. Calm . . . philosophical detachment . . . they only lasted for the first few days. Artificial calm, produced in the first stage of the present attack, was rapidly going.

Another explosion. Two, three of them. One of them, heavier than the others, meant that a depth charge had exploded on the sea bottom. The sound was so plastic that I could almost see the masses of rock and mud torn out of the bottom and brutally thrown up by the explosion. The blast pushed us thirty feet up. We got to 120 feet. We took some more water into our immersion tanks and went down to 180. We went on waiting. The inactivity was the worst part of it. We could hear the throb of engines and screws. The German trawlers were drawing nearer. Tic-tac, tic-tac . . . just like a watch. No faster than a watch. I remembered my father's watch at home. . . .

A shock. Another shock and then two more explosions in quick succession. I was fast losing what had remained of my calm and peace of mind. One word filled my brain: "End"—this was the end. Air was certainly escaping in telltale bubbles or perhaps the oil or fuel pipes were leaking and giving us away. Perhaps . . . Someone dimmed the lights. I looked around me. The others were also exhausted by waiting. They all had half-closed eyes. Some faces were marked by hard, bitter determination. On some cheeks I saw tears streaming down. Only the bosun seemed calmer than the others. His lips were moving. . . .

Another terrifying explosion. He is praying! My God, I can do it too. . . . again. The throbbing noise of the screws draw nearer. The words of the simple, everyday prayer filled my mind completely. I forgot all that surrounded me. I found at least something that could give faith and courage. I finished the ordinary prayer of my childhood. I pulled out of my pocket a postcard sent by my mother, with the Holy Virgin of Czestochowa. It was the old Polish prayer of boundless faith and trust.

Depth charges burst again close to us. I heard them. I knew that the next ones would destroy us. I knew it, but I nevertheless felt secure. I felt that nothing was lost. I remained calm and confident in spite of all. I believed.

Minutes passed in silence. Half an hour went by. We did not hear the screws any more.

"Our Holy Mother has saved us," said quietly, shyly, one of the men from the neighbouring hammocks. Soon there was life again in the steel shell of the ship.

☆

A year later. May in the Atlantic. Some wind. A fairly rough sea. Sun and cloud. The grim and beautiful silhouette of H.M.S. "Rodney" outlined in dark grey on the light grey background of the morning sky.

The "Hood" was sunk "Bismarck" had broken out into the ocean. Admiralty orders sent us in her wake. We did not know the position of the enemy. He had slipped out under the cover of evening mist and we could not establish contact again. We had been summoned away from convoy duty. We had been bound for America, but orders sending us into action came as a joyful surprise.

There is one chapel on the ship for all denominations. It is a small, modest chapel. We have two chaplains—one from the Church of England and one of our own Church. We all live in expectation. Any minute might bring what we have all been looking forward to so eagerly. We wanted to hear the bark of our guns, to see fire and smoke. We wanted revenge. We hoped for victory. But the ocean is vast. The enemy might be hundreds of miles away and the chances of meeting him were scant indeed.

Dawn was rising after a stormy night. I heard the angry muttering of the gale. I was not surprised, for she had been kept working overtime. We had an alert at dawn. Just an exercise. It was soon recalled and then there was Mass. The small chapel was filled with sailors. The shadows cast by the candles wandered along the walls in a heavy swell. The priest read the Bible text for the day and preached. We are like soldiers going over the top, he said. God must be with us. He must live in our hearts and minds. We shall all be able to share in Holy Communion, if we only make an act of genuine repentance. Confession may be postponed until the next opportunity. Sailors bowed their heads before the altar. Hope was born from their prayer.

Two days have passed. "Rodney's" guns spoke in their full voice. The "Bismarck" was our target. Columns of water churned up by enemy shells rose all around us. Our shells hold the enemy in a ring. The battle goes on. The proud and arrogant opponent goes down. The convoys are safe again. Who knows how many thousands of lives have been saved? Victory triumphed.

☆

Another year went by. Change of scene. I was on board a British corvette at anchor among the ships of a safely escorted convoy in a port of tropical Africa. I was the officer of the watch. Our call was to be brief, so that watering, provisioning and fuelling had to be carried out quickly. One boat after another drew by and new people climbed on board. Stevedores, chandlers, guests. Native canoes swarmed about and the naked sons of Africa angled for ship's refuse and all the tit-bits of the harbour. They kept their high spirits. One of them chanted in a melancholy voice some popular English hits. Some men of the crew were just putting the finishing touches of paint to the side of the ship. The superstructure had already been freshly painted. Other ratings had gone off to clean the guns and the lifeboats. Sunshine poured vertically from the sky. The heat was intolerable. I tried to seek some shelter from its burning rays. My skin was peeling off for the third time in two weeks. I was surprised to have anything left at all to cover my mortal body. The water, as always at the mouths of tropical rivers, was rich brown in colour and thick like soup. There was no evidence of life in the sluggish stream. Only some dead fish floated on the surface. I could hear in the distance the hubbub of a negro town. The palms stuck up, grotesque and somewhat sinister, like chimney-sweeps' brushes. Some marine birds were cruising lazily near the shore. The stench of the dirty water nearly made me sick. The sight of fruits handled by negroes in their pirogues, with hands darker even than nature had made them, disgusted me more. Nerves were on edge. Anything was liable to set off a fit of temper. My thoughts wandered lovingly around all cold objects. At the mere thought of frost and snow a shiver of pure pleasure went down my spine. Let it be even rain and storm . . .

The chaplain had just gone out of the mess. He had only called for a short while, for he lives on board one of the ships in our escort group. Tomorrow he will read Mass on board. Today he came to hear confession. Would I like to confess? he asked. Of course I would. But I could not go below, for I was on duty. That did not matter. So we just talked, leaning on the rail, under the blazing sun, only a few hundred miles from the Equator. It was confession. I am sure that no one realized what was the nature of our conversation. But it was heard by God.

The priest then went to another ship. I went on walking along the deck. But I did not feel as I had done before. I was moved. A religion that can be adapted to the needs of a hard and rough life is a living faith. I understood those who had died in its defence and those who endure suffering for its sake. Love is a great thing and there cannot be greater love than for an ideal of perfection, an ideal towards which we all strive.

Printed by Letchworth Printers Ltd., Letchworth Garden City, Herts.